

Albina Mackiewicz, ur. 20 V 1914 r.; Bronisława i Józef Hryniuk - rodzice. Urodziłam się w Ławkienikach, gmina Sobotniki. Ławkieniki to była wioska. Mój tata był bardzo zamożny, mieliśmy pszczoły, może 11 ha ziemi. Dzieci w domu było: 3 braci i ja, siostra młodsza umarła. Do szkoły chodziłam bardzo mała, bo mama nie pozwalała. Nie było czasu chodzić do szkoły. Mój tato umiał wszystko - i śpiewał po zmarłych, i chował zmarłych, trumny robił, chałupy stawiał, olej robił, świece robił. Do taty przychodziły dzieci sąsiadów i tato ich uczył; to i ja przy tych dzieciach się uczyłam. A potem jak dzieci jechały do szkoły do Huty, to ja chwyciłam kawałek cukru do ręki, drewniaki na nogi i też pojechałam razem z nimi. Nauczycielka mnie zapytała i zapisała do drugiej klasy. Jak wróciłam do domu, to mama powiedziała, że jest bardzo dużo roboty w domu i nie puściła mnie do szkoły. Nauczycielka w Hucie nazywała się chyba Janina Łobowiczówna.

W 1938 r. wyszłam za mąż do Huty. Kiedy wojna się zaczęła, to mieliśmy małe dziecko, mąż poszedł na front, ale zaraz wrócił.

U nas nie było prawosławnych, ani cerkwi nie było. U nas byli Polacy, tylko rozmawiali po prostu. W kościele śpiewali po polsku, a potem mówili po prostu. Gdyby wszyscy razem zaczęli mówić po polsku, to wszystko byłoby dobrze, a tak jak kto zaczynał mówić po polsku, to się z niego śmieli. Kiedyś jeden chłopiec przyszedł do Ławkienik i zaczął mówić po polsku, to na niego powiedzieli: "O, jaki szlachcic, panicz", - wyśmiali go i więcej się u nas nie pokazał. W Ławkienikach mieszkali m.in. Hryniuk, Miksza, Harodź, Wasilewski, Mackiewicz - takie nazwiska. W modzie były imiona: Antoś, Stasiak, Jasiak, Bronisław, Stanisław. Ludzie na wsi umieli czytać. W Wielkim Poście przychodzili do nas do domu chłopcy i dziewczęta, brali wszyscy książeczki do nabożeństwa i śpiewali pieśni wielkopostne - bolesne do Pana Jezusa. Mama nagotowała kawy, postawiła chleb na stół, wszyscy pojedli i znowu śpiewali. Tak zbieraliśmy się wieczorami. Moja ciocia była starą panną, nie chciała wychodzić za

Albina Mackiewicz

maż, chociaż była bardzo piękna. Była zelatorką, należała do trzeciego zakonu i mnie trochę zabierała ze sobą, do nas przychodził ksiądz do domu. Nasza wieś była bardzo pobożna. Kościół był w Sobotnikach. W Sobotnikach był najpierw ksiądz Żabrowski, potem zmienili - był ks. Paweł Bagiński /mam go na zdjęciach/. Po przyjeździe Rosjan był ksiądz nadal, był przez całą wojnę, bo na zdjęciach z pogrzebów moich bliskich wszędzie ksiądz jest.

We wsi Traby - o 14 km od nas - była cerkiew. Ale nie byłam ani razu w cerkwi i tutaj we Wrocławiu poszłam z ciekawości do cerkwi przy pl. 1 Maja /jak przyjeżdżał do prawosławnych biskup/.

Żydzi jeździli po wsiach, kupowali jajka. U nas często nocowali Żydzi, nasz tata wszystkich przyjmował: żebraków, Żydów, wojsko - u nas każdy znalazł schronienie.

Żebracy chodzili po domach, nie bardzo chcieli chleb brać, prosili to jajko, to mięsa. Na Wszystkich Świętych tata bił dużego barana, mama piekła świeży chleb, krajali na porcje mięso i chleb /ojciec krajał całego barana, a matka cały wypiek chleba/, brali to do worka i szli 3 km do Sobotnik pod kościół. Tam siedzieli żebracy - wszystko to rozdawali żebrakom. Żebracy śpiewali, grali na skrzypcach, modlili się. To byli biedni ludzie.

Pieśni kościelne to u nas śpiewali po polsku, a inne - to po białorusku. Było bardzo dużo pięknych pieśni.

Mój mąż był rolnikiem. Mieliśmy w Hucie gospodarstwo. Gospodarstwo nie było duże, w domu było dużo dzieci, to teść pracował jeszcze w folwarku - pilnował lasu. W majątku Żemosław był pałac, tam pędzili wódkę, robili sery. Majątki były przed wojną bardzo bogate. Ale byli też i ludzie biedni. Moja mama dawała mi chleb, żebym zniosła wujkowi. Mamy brat był bardzo biedny - mieli dużo dzieci i mało ziemi. To był Stanisław Miksza z Ławkienik. Ja pracowałam u rodziców dużo, ale mi tata wszystko kupił, a teraz jestem takim żebrakiem. Pracowałam bez przerwy, czasami nawet nie miałam kiedy

Albina Mackiewicz

zjeść, tylko kawałek chleba do ręki - i do roboty.

Kiedy zaczęła się wojna, to w Juraciszkach bomby leciały. A my rwaliśmy len w polu. Zabierali mężczyzn, wszędzie płacz i lament. Męża zabrali, ale wrócił gdzieś po 2 tygodniach - bez munduru. Wrócił tak jak poszedł. Rosjan zobaczyłam idąc z małym dzieckiem do ojca. Szłam od Huty do Ławkienik. Od majątku Huty do Żemosława prowadziła piękna droga. Nie mogłam przejść przez drogę na drugą stronę - bo szły czołgi za czołgami. Tata wykopał taki duży dół i zakopaliśmy kufer z ubraniami - baliśmy się, że to zrabują. Ale potem ten kufer odkopał.

Jak zaczęła się wojna, to ludzie rozbierali majątek Żemosława: brali krowy, ule, miód. Polecieli ludzie z Huty, wiele ludzi popaliło się i potopiło, bo brali spirytus i ktoś rzucił zapalniczkę. Spaliła się też jedna Wikcia z Ławkienik. Nasz Józef przyniósł troszkę miodu. Krowę przygonili, a później z powrotem wszystko pozabierali. Z rodziny mojej teściowej poszło 6 synów na front - 6 braci mojego męża. Poszli z Sioerii: mój mąż Adolf, potem Franek, Broniek, Stanisław i Józef. Stanisław i Bronisław zginęli.

W Sobotnikach Żyd Bielski miał sklep /to był ładny Żyd, nie podobny do Żyda/. Ten Żyd i dwóch ruskich przyszli w nocy. Oni wiedzieli, że teść mój ma pistolet, bo był gajowym i polowym - pilnował lasu i pola w majątku. Przyszli szukać tej broni. Obszukali wszystko w towarzystwie teścia, ale nic nie znaleźli. Wtedy powiedzieli, że wywiozą nas w głąb Rosji, na "życielstwo". Miałam ochotę uciekać z dzieckiem, ale był straszny mroź i mąż mi nie pozwolił; wtedy zabrali chłopców, bo mieli tylko jeden wóz. Teściowa kazała mi piec chleb. Potem mąż i moi teściowie powieźli chleb do Sobotnik dla tych zabranych. Wrócił teść, a ja akurat dołam krowę. Teść mówi, żebym zostawiła te krowy, bo one już nie moje. Teść wrócił z Rosjaninem, bo męża już zatrzymali w Sobotnikach - mąż próbował z koniem uciec, to strzelali za nim. Teraz też Ruski był z automa-

Albina Mackiewicz

tem. Rosjanin kazał mi się ubierać. Zobaczyłam, że pod oknem już są moi bracia z Ławkienik. Poprosiłam, żeby wpuścili braci, ale oni nie pozwolili. Potem wpuścili jednego brata, a drugiego nie. Posadzili mnie z dzieckiem na sanie, ten za automatem siadł z tyłu i ruszyliśmy. Śnieg był głęboki, widzę, że biegnie moja mama z Ławkienik z jakimś węzełkiem. Przewróciła się. Zaczęłam krzyczeć, że ja zaraz wracam, że jadę tylko do Sobotnik, żeby się nie martwiła. Wtedy widziałam swoją mamę ostatni raz.

Zabrałi nas wszystkich. Z domu nic prawie nie wzięliśmy, mimo że mieliśmy wszystko. Pozwolili wziąć tylko słoninę i ten niedopieczony chleb. Miałam obraz - Św. Teresę. Chciałam wziąć ten obraz - ale on mi nie pozwolił, powiedział, że ten obraz już nie jest mój. Z ubrania teść wszystko powiązał i wziął. Z Huty więcej nikogo nie wywieźli. A nas wywieźli, bo na końcu wsi mieszkał taki Białorus i on nas wydał - pozapisywał, ile nas osób w rodzinie, tak że Rosjanie mieli wszystkich zapisanych. A jak przyszli Niemcy, to go rozstrzelali, ludzie później nam o tym napisali. Z oklicznych wsi nikogo nie wywieźli, ale wywieźli ludzi z kolonii, m.in. był p. Ciekawy z żoną /oni dzieci nie mieli/, była jedna kobieta z gromadą dzieci - bosych, szmatami poowijanych. Na nich Rosjanie mówili, że to kułaki, a jak ja ich zobaczyłam, to to była biedota taka. To byli osadnicy z tych kolonii.

W Sobotnikach powiedziałam, żeby wypuścili mojego męża, bo bez męża ja nigdzie nie pojedę. Męża wypuścili, nasmarowali nam czymś twarze, bo był mróz, posadzili na sanie i powieźli na stację do Juraciszek, a potem do Gawij^v. W Gawji wsadzili nas do wagonu, w nocy wagon ruszył. Nasi chłopcy zaczęli rwać deski w wagonie, żeby uciekać. Ludzie wyli jak zwierzyna. Zaczęli chłopców przekonywać - żeby nie uciekali, bo poginę. Wieźli nas, wieźli, przystawali na chwilę. Nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą, gdzie wysadzą. Chciało się pić, ale dopiero za dnia drzwi wagonu udało się uchylić, wtedy chłopcy

Albina Mackiewicz

szybko nabrali śniegu do wiadra i roztopili koło piecyka i już była woda do picia dla dzieci. ~~Tyż~~ tygodnie nie chodziłam na stronę i nikt nie chodził. Przez dwa tygodnie byliśmy zamknięci, na trzeci tydzień otworzyli drzwi i kazali dwom osobom wziąć dwa wiadra i iść po zupę. Teść mój rozdawał tę zupę wszystkim. Kiedy zjadłam tej zupy, to moje dziecko dostało biegunki, bardzo się rozchorowało. Dziecko już prawie umierało, po trzech tygodniach znów otworzyli wagon i pytają, czy wszyscy żywi. Mówię, że żywi, ale moje dziecko bardzo chore. Rosjanin był z koniem, kazał mi siadać, pojechaliśmy szybko, złapał dziecko ~~w~~ biegiem do lekarza. Rozwinął to dziecko - lekarz tam je zbadał, znów zawinął i kazał mi się trzymać. Przywiózł mnie do baraku, dookoła nic tylko lasy. Ale barak jak pałac - wszystko bielusieńkie, kocioł wody wrzącej przed wejściem. Tylko prycze gołe. Rozwinęłam dziecko, dałam jakieś tabletki. A ten Rosjanin pojechał po resztę.

Baraków było chyba 4 czy 5. Miejscowość nazywała się Zamzor. Ale nie wiem, jaka to była obłast. Był komendant nad tymi barakami, nie wolno było drzwi zamykać na noc, komendant latał po baraku i liczył ludzi. Rosjan było tylko 4: komendant, ten człowiek, który nas przywiózł i dwie kobiety, które nam gotowały jeść. Nie wolno nam było z nimi rozmawiać. Jedzenie podawały nam przez okienko: zielona woda z ogorkami i pół kilo chleba na osobę pracującą, a na nie pracującą - 200 gram.

strona B

Mieszkaliśmy w tych barakach aż dopóki nie zaczęła się wojna Rosjan z Niemcami. Potem naszą rodzinę i jeszcze jedną, gdzie byli chłopcy, zabrali na ciężarówki, wzięli do miejscowości Nieroj, później do Irkucka, samolotami.

Mieszkaliśmy podczas zsyłki z Niedawiedzkimi, Ciekawymi, Wandałowskimi, Telegami, Waraksami, Krzesłami. Byliśmy w sowchozie Jasnym potem w sowchozie Dorturs Kasisińskij rejon. ~~(...)~~

Albina Mackiewicz

Z Irkucka skierowano nas do pracy - niektórych do pracy w lesie, a niektórych do pracy przy skałach - dynamitem wysadzano skały i wybierano z nich takie coś jak celofan. Po trzech miesiącach nas zwolniono i kazano jechać gdzie kto chce. Powiedziano, że jesteśmy Polakami i jesteśmy wolni. Wieczorami modliliśmy się, śpiewali "Wszystkie nasze dzienne sprawy".

W sowchozie chodziłam do pracy, z dzieckiem była teściowa. Dziecko karmiłam piersią, gdyby nie to, to... Syn zaczął chodzić jak ukończył rok; była też z małym dzieckiem kucharka nadleśniczego z Huty. Nadleśniczego chcieli w Hucie Rosjanie zastrzelić, postawili go rozebranego - w kalesonach pod ścianą, ale zebrani ludzie zaczęli krzyczeć, żeby go nie zabijać. Ten nadleśniczy zrobił się w jednej chwili biały - osiwiał. W końcu Rosjanie krzyknęli "Bieritje jego k czortu" i go puścili. Ta kucharka nazywała się Stanisława Pacewicz /była wywieziona z mężem i dzieckiem malutkim, ale ją z mężem gdzieś rozłączyli/. Ona później tego męża odnalazła i on do niej przyjechał. Kiedyś w piątek pikujemy to drzewo, a ja do niej mówię, żebyśmy poszły do łązki wykąpać się. A komendant nie pozwolił, kazał nam wracać do pracy. A my obie karmiłyśmy dzieci piersią. Nie wróciliśmy do pracy. W nocy wezwano nas do komendanta. Wchodzimy, a on z rękami do tyłu, przed nim pistolet i dawaj w tę i w tamtą stronę o stalińskim rozkazie. Mówi, że rozłączy nas z dziećmi, że dzieci pójdą gdzieś do ochłonki, a my gdzie indziej. Ja patrzę, a pod Stasią już jest kałuża - ona z ...ła się ze strachu. Wtedy mnie złapał szalony śmiech - co mogą nam zrobić - już nas wywieźli, że dalej nie można. Zabiją nas? Ledwo powstrzymałam śmiech i powiedziałam: "Towarzyszu komendancie, więcej już fak robić nie będziemy." Kazał nam wracać do baraku i odpoczywać.

Dla dzieci nie było żadnej opiki, nic - tylko te 200 gramów chleby^a. Kiedy potem przyjechaliśmy do sowchozu, to żona przewodniczącego opowiadała, że przed naszym przyjazdem nawet kartofle pochowano daleko, bo Polaków wyobrażano prawie że z rogami i ogonami - jak diabłów.

Albina Mackiewicz

Potem w tym sowchozie to mojemu dziecku dawali mleko, ale ja za to zapłaciłam, miałam piękne rzeczy, m.in. dużą chustę wełnianą tzw. nakrywaną. W sowchozie nas lubili, zapraszali do siebie. Mój mąż był taki wesoły. W sowchozie już nie głodowaliśmy. Mleko można było od ludzi dostać - zamienić na rzeczy. Rosjanie byli bardzo dobrzy. Byli pobożni, mieli pochowane obrazy w kufrach. A jak nie było długo deszczu, to wzięli obraz i poszli z procesją modlić się o deszcz.

Mój synek bawił się razem z dziećmi dyrektora. Kiedyś ci chłopcy go pobili. Poszłam się o niego wstawić, powiedziałam, że co oni sobie myślały, że skoro my jesteśmy Polakami, to już można moje dziecko bić. Nagadałam żonie dyrektora. Ale dyrektor nie zrobił z tego żadnej historii.

Z tego sowchozu moi szwagrowie poszli na front. Poszedł i mój mąż. Dyrektor sowchozu chciał mojego męża zatrzymać, ale nie mógł. Zostałam z dzieckiem sama i z teściami. Kiedy mąż był przy nas, to nie chodziłam do pracy, a potem musiałam pracować. A kiedy nie pracowałam, to postawiono mnie pod sąd. Powiedziałam, że dziecka do jaśli nie oddam. Sąd wyglądał tak, że przyjechali NKWDziści do sowchozu i wszystkie domochoziajki znalazły się na ławie oskarżonych. Z Polaków byłam tylko ja, ale były też Rosjanki, które miały małe dzieci. Grozili, że dadzą mnie pod sąd. Ale nic mi nie zrobili.

Jak już męża nie było, to miałam w sowchozie jeszcze jedną sprawę. Zbierałyśmy z pola kapustę. Jechał przewodniczący, a kobiety rozścieliły płachty i wzięły sobie kapusty. Wzięłam i ja do wiadra. Zostałyśmy wezwane do kantory i znów o stalińskim rozkazie. W końcu nie wytrzymałam, splunęłam i mówię, że nie mają wstydu. NKWD i milicja przyjechała, żeby ludzi sądzić za parę główek kapusty, za trawę. Co w tym złego, że kobieta zje parę główek kapusty - to będzie lepiej pracować. Jak wrócę do Polski, to opowiem, jak u was dobrze. Jak wam mało, to jedźcie do Polski - tam kapusty pod dostatkiem. Za co wy ludzie sądzicie? Wypuścili wszystkie baby!

Albina Mackiewicz

Jak mąż był w wojsku, nie dostawałam żadnej zapomogi. Kiedy mąż poszedł do wojska, to wstrzymali to mleko, które dostawałam, kiedy on pracował. Poszłam się upomnieć o to mleko, to mi kazał dyrektor iść do pracy. To poszłam. Przedtem, jak mąż był, to nie pracowałam. Dyrektor powiedział mężowi: "Adolf, jak nie ukradzisz, to nie prożiwiesz" - ten dyrektor bardzo lubił mojego męża. To mąż robił tak: jak wiezie zboże, to jeden worek dla dyrektora, a drugi dla nas. Jedzie - wrzuci przez okno, a potem zawiezie zmielić. Chleb piekłam swój. Mieszkaliśmy u Rosjanki, która miała dużo dzieci. To ten chleb piekłam i dawałam jeść jej dzieciom też. Ci Rosjanie mali mówili mi, że jestem bardzo dobra. Chcieli nawet dla mnie kraść kury - jako podziękowanie za chleb. A ja miałam swoje 3 kurki. Ale oni kiedyś złapali czyjąś kurę i ja im ugotowałam.

Mąż potem wysłał mi na Sybir wyzow /zaproszenie/. A my już wyjeżdżaliśmy. Ameryka przed wyjazdem dała nam wszystkiego na drogę - jakieś konserwy, jakieś mięso suszone. Dwa worki przyniosłam, a trzeci raz nie poszłam - na co mi tyle.

Jak my wyjeżdżaliśmy, to Chmurowa /?/ nie dostała papierów, bo zapisała się jako Białorusinka. A my byliśmy razem: Telegowie, Wadołowsy, Mackiewicz... Chmurowa bardzo płakała - mąż jej był w wojsku, a ona była z dwiema dziewczynkami i chłopcem. Powiedziano jej, że Białorusów jeszcze nie zabierają, jak będą zabierać Białorusów, to wtedy ona pojedzie.

Nie wyjechała też chyba taka Aniela. Aniela wzięła trochę maki z sowchozu, złapali ją na tym i posadzili do więzienia. Aniela była chyba panna - ona była sama. Była też jedna jeszcze samotna dziewczyna - była chora, sikała pod siebie.

Potem majster wziął mnie do pracy do mleczarni /do masłozawodu/. Wziął dlatego, że był przekonany, że Polacy nie kradną. Majster był Estończykiem. Ja nie chciałam tam iść, ale dyrektor mnie przekonał.

Albina Mackiewicz

Estończyk nazywał się ^Mmagnus, był też zesłańcem, był z żoną. To byli starsi ludzie, bez dzieci. Pracowałam tam u niego 3 miesiące. Była też w sowchozie Żydówka, która przezywała nas polskimi świniami.

Przed wyjazdem nie było kłopotu z sowchozem. Odwieźli nas na saniach do Owczinnikowa; tam czekaliśmy, aż zebrało się dużo ludzi. Już wagonów nie zamykali, mieliśmy co jeść. Wszyscy się cieszyli, że jędziemy do domu. Przyjechaliśmy aż do Lwowa. Ja się naszykowałam wysiadać, chciałam wracać do Huty. Pożegnałam się już z teściową. Ale kierownik transportu kazał wracać mi do wagonu.

Kiedy przyjechaliśmy do Rawy Ruskiej, to nas przywitano. Koło każdego wagonu zjawił się polski żołnierz z automatem. Zapytano: "Ozego Żydów wieziecie?" Żydzi zaczęli się w popłochu golić. Żołnierze chyba zażartowali. A potem kazano nam się chować, droga była podminowana, Ukraińcy napadli na transport, tylko kule gwizdały.

Przyjechaliśmy do Wrocławia. Staliśmy chyba z tydzień w wagonach. Potem zawieziono nas na ulicę Rzeszowską. Na dole mieszkali jeszcze Niemcy. Nas zakwaterowano na górze. Ja w płacz, że chcę do domu, że nie chcę mieszkać w tych czerwonych domach...

tasma II

Mąż mój wrócił z wojska do Huty. Kiedy wracał, to na granicy go złapali. Zatrzymany na kilka dni zgodził się na podpisanie obywatelstwa radzieckiego. Pisał domnie listy, żebym ja przyjeżdżała, bo on nie może przyjechać. Wtedy ja pojechałam z p. Telegą do konsulatu rosyjskiego. Tam mi zaproponowano obywatelstwo radzieckie i pod tym warunkiem mogłam pojechać do męża. Telega się wycofał. A ja przestraszyłam się, bo miałam dziecko i co? znowu na Sybir? Postanowiliśmy jeszcze jechać do Łodzi. A Telega miał ~~zabrać~~ tam żonę i syna, bo kiedy wywozili, to ona leżała chora. Telega był osadnikiem. Przyjechał mój szwagier z Białej Podlaski - Józek Mackiewicz i powiedział mi, żebym nie czekała na męża, bo on podpisał obywatelstwo radzieckie. Kolega męża z wojska p. Jakubczyk był w podobnej sytuacji - z wojska wrócił pod Hu-

tę, a jego żona z Syberii tymczasem przyjechała do Polski. Ale ten Jakubczyk potem się jednak repatriował do Polski. Wyjeżdżając namawiał mojego męża, że przemyci go do Polski w worku. Adolf niby się zgadzał, ale związał się w międzyczasie z moją kuzynką, miał z nią potem chyba 5-ro dzieci. Przyjeżdżał do Polski chyba ze dwa razy w goście. Wszyscy jego bracia Mackiewiczze są w Polsce. On jeden tylko został w tym domu w Hucie. Mąż już zmarł, a ona nawet nie dała nam znać. My byliśmy też z synem kiedyś w tym domu, ona się upiła i zaczęła śpiewać. A ja tęsknię za swoim domem, chciałabym pójść na ten cmentarz.

Jak nas wywiezli, to ludzie porozbierali moje rzeczy. Mama mi pisała, kto co zabrał, a ja odpisywałam, żeby mama się nie martwiła, jak wrócę to wszystko pozabieram. Sąsiedzi-kobiety cieszyły się, że mogły porozkradać. Meble nasze zabrali do sielsowietu - miałam nowe łóżko i nową szafę. Nasze bydło zabrały też władze, a konia wzięli do wożenia poczty. A dom został cały, tam zawsze ktoś mieszkał, poki nie wrócił mój mąż.

Niektórzy ludzie z Huty przyjechali do Polski. A ja swojej rodzinie odradzałam, żeby nie ruszali się z domu. Czy to w domu źle? Ja jakbym mogła, to pojechałabym do domu. w roku 1956 wyjechał z Huty mój kuzyn Hryniuk Jan. A teraz dziewczyny z Huty powychodziły gdzieś za mąż za Rosjan i wyjechały gdzieś do Rosji, tak że nawet i w Hucie teraz stoją puste domy. Ja się ^{ie/}poniwieram, bo mi tak widocznie Pan Bóg dał.

Po przyjeździe do Polski zaczęłam chorować. Kiedy pracowałam w lesie, to miałam wypadek: dwie kobiety piłowałyśmy drewno. Obrabrywałam sęki. Jak jedna sosna zaczęła już chwiać się przed spadaniem, robotnicy zaczęli krzyczeć, żebym uciekała. Ale ja już nie zdążyłam uciec - upadłam na ten śnieg, sosna mnie nie drasnęła nawet, tylko tym hukem mnie ogłuszyło. Miałam skręconą nogę - przy innej pracy w Rosji. We Wrocławiu już jesienią 1946 roku zachorowałam. Chodziłam po jedze-

Albina Mackiewicz

nie do PURu, do księdza. Zaczęły się bóle głowy, już w Rosji miałam takie bóle, że krzyczałam. Chorowałam przez zimę, a później poszłam do roboty - do oczyszczania miasta. Poszłam akurat na swoje imieniny - na 1 marca. Jak ktoś szedł z^ęnojomy, a ja byłam z miotłą, to uciekałam. Jeden pan poznał mnie i mówi, że oto córka takiego bogatego ojca z miotłą na ulicy. Ludzie pytali, czemu taka młoda dziewczyna ulice zamiatą - czy z przymusu czy z wyboru. Odpowiadałam, że bardzo mi się podoba ta robota. Mam synka, a w tej pracy mogę zaczynać o 6-ej i wracać o 2-ej do dziecka. Pracowałam przy oczyszczaniu miasta 9 lat, aż upadłam, zachorowałam. I od tamtego czasu jestem na rencie. Mój syn też jest na rencie. Też przez 18 lat kubły rzucał. Ma tak jak i ja nerwicę ogólną. Syn mówi, że zaraził się ode mnie. Jak był dzieckiem, to do szkoły czasami po 3 miesiące nie chodził, bo ja chorowałam, to on siedział koło mnie, do babci chodził do Jerzmanowa. Poza tym tępy jest po ojcu. Tak mi teściowa powiedziała, że jak się Adolf urodził, to go poiła makiem, bo było dużo roboty. On ciągle spał i potem był w szkole ociężały też. Mąż pięknie tańczył, śpiewał, wszystko robił, ale nie umiał na przykład policzyć pieniędzy, nie odróżniał banknotów. I syn mój też do szkoły nie chciał chodzić.